

Dom i echo

Nie wiem dlaczego, ale nijak nie mogę sprawić, by mnie szanowano. Odczuwam niedorzeczną sympatię do ziemi i każdego, kto się nią zajmuje. Inni – ci od papierowych rozkoszy życia – patrzą na mnie z pogardą. Pewnie dlatego, że mieszkam w lepiance, herbatę piję bez mleka i tylko raz miałem przyjaciela.

Uprawiam ogród. Wuj ze strony matki przysyła mi czasem kilka szylingów. Z tego żyję. Mój dom leży pośród najgorszego pustkowia, a najbliżej mam do Stonebridge.

Moje dziwactwa trudno zliczyć, ale zainteresowanie religią może dziwić najbardziej. Nie tyle religią nauczaną w kościele, co tą, którą piechur znajdzie przy podeszwie. Religią, która w błocie zostawi ślad gwoźdźca. Muszę też opowiedzieć o przyjacielu. Kiedy zobaczyłem ślady jego butów, wiedziałem od razu, że jest wyznawcą religii, którą cenię – tej, która mnie ciekawi. Religii, która kocha biednych.

Wiele lat przed tym, jak poznałem mojego przyjaciela, przestałem odzywać się do tak zwanych wyższych sfer. Czasami mijaliśmy się w drodze, ale po jednym spojrzeniu na stopy tych ludzi od razu wiedziałem, że są zupełnie nieciekawi. Czasem burknąłem coś od niechcenia. Nie warto sądzić, że ludzkość coś w sobie ma; jest zupełnie na odwrót. Świat jest zazwyczaj zupełnie nudny, a ludzie – niewiele lepsi.

Każdy miewa potrzeby, nawet pustelnik. Po żółty ser i pułapkę na myszy chodziłem do Stonebridge.

Droga do Stonebridge ciągnie się przez smagane wiatrem wrzosowiska, nakrapiane od czasu do czasu krępyimi krzewami kolczastego głogu, które kształtem przypominają sylwetki zgarbionych ludzi i zwierząt.

W pewnym momencie, mniej więcej w połowie drogi do Stonebridge, ścieżka opada w kotlinę, w której stoi stary dom i, jakieś czterdzieści jardów dalej, wielka stodoła. Nigdy nie dowiedziałem się, po co i komu potrzebna była stodoła. Stary dom to co innego. Mieszkał w nim mój przyjaciel, pan Dove.

Nie jestem silny. Jedno skinienie śmierci wystarczy, bym padł. Droga do Stonebridge i z powrotem męczyła mnie dawniej i męczy dziś.

Któregoś razu poszedłem do Stonebridge po drewniany pobijak, bez którego nie mogłem naprawić płotu. Wracając z narzędziem w ręku, dotarłem do Pidden Gap, czyli domu na wrzosowisku, w połowie drogi z miasta. Przy bramie stał mężczyzna. Spojrzałem na jego buty – inne niż u większości. Buty człowieka, który wyznawał interesującą religię.

Była zima. Jeszcze w mieście zapiąłem mój podniszczony płaszcz, nadchodził bowiem wieczorny chłód. Wiatr smagał mnie podmuchami od strony wzgórz, a lodowaty deszcz co chwilę zalewał twarz. Mężczyzna czekał na mnie przy bramie. Sądził bowiem, że filiżanka herbaty mi nie zaszkodzi. Zaprosił do środka.

Czasem spotyka się ludzi, których delikatne maniery mają w sobie coś z wielkiej siły i odwagi. Tembr głosu pana Dove'a przegonił mroczne myśli. Daleko mu było do dżentelmena, więc nie miałem się czego bać.

Czy kiedykolwiek podczas spaceru smaganą wiatrem drogą przez wrzosowiska zaproszono was do przytulnego domu, gdzie do stołu nakrywa dziewczyna, która zna potrzeby wędrowca? Jeśli nie, to uwierzcie na słowo: pierogi z jabłkami i śmietaną smakują wówczas doskonale.

Ale do rzeczy.

Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Zawsze stawałem w Pidden Gap, wracając ze Stonebridge, a pan Dove i jego córka Jane zawsze byli dla mnie dobrzy.

Któregoś letniego dnia siedzieliśmy przy stole. Kiedy przyszedłem, Jane otworzyła drzwi, oznajmiając, że ojciec chce mnie przedstawić komuś, kto mieszka w pobliżu. Ani trochę się nie przejąłem, wiedziałem przecież, że przyjaciel nie zaprasza ludzi z „wyższych sfer”.

Po herbacie Jane zaniósła talerze i filiżanki do kuchni. Przyglądałem się jej, gdy wychodziła. Na pewno wiecie, z jakim wdziękiem porusza się ciało pięknej dziewczyny. Z tyłu wyglądała tak uroczo, że i wiatr by się zakochał.

Kiedy poszła umyć naczynia, pan Dove wziął mnie pod rękę – jak to miał w zwyczaju – i zaprowadził do ogrodu.

– Najwyższy czas, byś usłyszał echo – powiedział. – Właśnie echo chciałem ci przedstawić. Słuchaj: Theodore, Theodore! – zawołał pan Dove.

Wciąż słyszę, jak echo odpowiada: – Theodore, Theodore!

– Dziś słyhać je bardzo wyraźnie – zauważył pan Dove, gdy wchodziliśmy do domu.

Po chwili pojawiła się Jane.

– Stałeś się częścią Pidden Gap – powiedziała. – Poznałeś echo. Ojciec przedstawia echo tylko tym, których kocha.

Kiedy wychodziłem, Jane odprowadziła mnie do drogi. Czułem, że można ją pocałować bez lęku. Nie udawała skromnej. Umiała kochać. Spytałem, kto ją nauczył całować.

– Ach, to samo przychodzi – odpowiedziała.

Ruszyłem do domu, nie czując zmęczenia.

Podczas mojej nieobecności listonosz wrzucił przez okno list. Autor donosił, że mój wuj nie żyje i że jeśli zależy mi na paru funtach spadku, to muszę stawić się w mieście na północy. Tak się złożyło, że zabawiłem tam do końca lata.

Po długim czasie wyruszyłem w drogę powrotną, kierując się na zachód, do Stonebridge. Stamtąd chciałem udać się do domu. Bagaż zostawiłem na stacji, polecając przekazać go pewnemu chłopu, który przechodził koło mojej lepianki w drodze z targowiska. W mieście kupiłem nowy szpadel. Z nim na ramieniu wyruszyłem do domu.

Był to okropny jesienny wieczór. W drodze pomyślałem o pierwszym spotkaniu z przyjaciелеm, panem Dove'em. Kiedy zaprosił mnie wtedy do siebie, pogoda była równie zła. Tym razem byłem zmęczony podróżą i, cokolwiek bym robił, najczarniejsze myśli przychodziły mi do głowy.

Podmuchy wiatru były tak ostre, że szło się trudno i smutno. Po chwili lunęło jak z cebra. Deszcz smagał mi twarz ze złośliwym uporem. Próbowałem myśleć o przyjaciółkach – o panu Dove i Jane.

Idąc drogą po zmroku, ze wzgórza górującego nad Pidden Gap zawsze widziałem światło w kuchni pana Dove'a. Kiedy tym razem dotarłem do szczytu pagórka, zaciągało jeszcze mocniej. Ciężkie krople zimowego deszczu. Ze spadła, który oparłem na ramieniu, woda ściekała mi do rękawa płaszcza.

Światła nie było widać.

Zszedłem ze wzgórza i otworzyłem bramę prowadzącą do domu, w którym mieszka echo. Podeszedłem do drzwi i zapukałem.

Pukanie rozbrzmiewało w całym domu. Odbijało się od ścian w pustych pokojach.

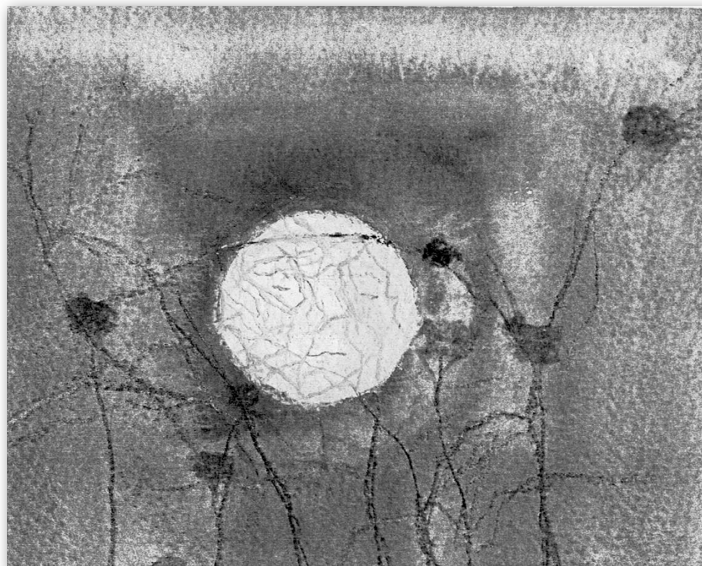
Stałem dalej, wyłęczając słuch. Tylko deszcz bębnił. Obszedłem dom, dotarłem do ścieżki w ogrodzie i miejsca, w którym można było usłyszeć echo.

Zawołałem: – Theodore, Theodore! – Żadnej odpowiedzi.

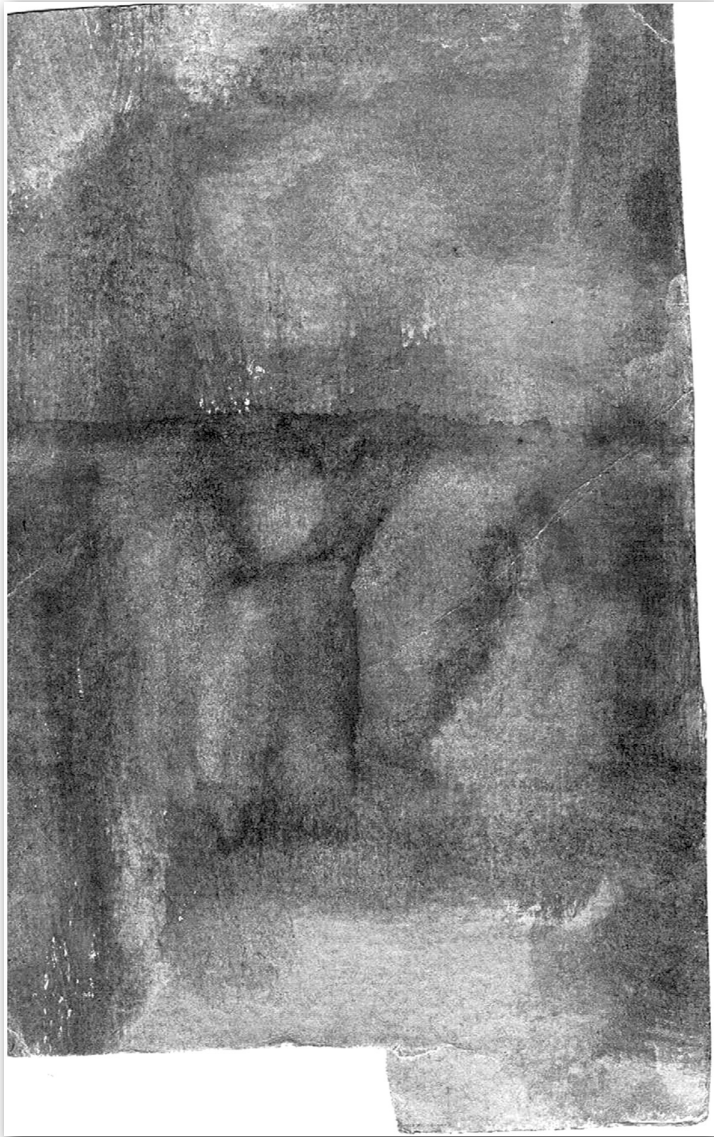
Zapytałem inaczej, niskim tonem:

– Czy pan Dove jest martwy?

– Martwy! – odpowiedziało echo.



Piotr Mitzner, *Bez tytułu*



Piotr Mitzner, *Mur*